

## "Makbet" według Mądzika

Najnowsza realizacja Teatru Osterwy - "Makbet" Williama Szekspira w reżyserii Leszka Mądzika i z jego scenografią - należy do tej rzadkiej kategorii spektakli, o których bardzo trudno jest pisać. Żadne słowa bowiem nie oddadzą jego bogactwa. W zasadzie za recenzję mogłoby posłużyć zdanie: To spektakl, którego nie wolno nie zobaczyć. Wskażmy jednak kilka walorów, które owo zdanie uzasadnią.

Po pierwsze - opracowanie tekstu. Nigdy nie ukrywałem, że nie jestem zwolennikiem nadmiernych ingerencji realizatorów w teksty dramatów, zwłaszcza tych największych, wyznaczających historię dramaturgii i teatru. Wychodzę z założenia, że jeśli autor coś napisał, to uczynił to w jakimś celu. Z entuzjazmem przyjąłem film Kennetha Branagha, który zrealizował "Hamleta" od pierwszego po ostatnie słowo napisane przez Szekspira. Tymczasem Mądzik postąpił dokładnie na odwrót: z wielkiego, pięcioaktowego dramatu zrobił przedstawienie trwające ok. 70 minut. I dokonał rzeczy niemal niewiarygodnej. Nie tylko precyzyjnie opowiedział całą historię Makbeta, lecz także zachował ducha sztuki i jej głęboką warstwę intelektualną i moralną. Pod tym względem jest to spektakl wręcz mistrzowski.

Dalej - strona plastyczna. Znając autorski teatr Mądzika, można było z góry snuć pewne wyobrażenia. Jednak to, co widzimy, poza wszelkie wyobrażenia wykracza. Monochromatyczna właściwie, utrzymana w odcieniach czerni, tu i ówdzie tylko "przelamywanej" krwawą czerwienią, wizja plastyczna wręcz olśniewa bogactwem. Dla przykładu - las Birnam został pokazany tak, że możemy go nie tylko zobaczyć, ale niemal odczuć. A co więcej - scenografia w tym spektaklu jest czymś więcej niż tylko dekoracją. Osiąga status samodzielnego bytu scenicznego, podobnie jak kostiumy Zofii de Ines i świetna muzyka Andrzeja Zaryckiego. I - co bardzo istotne - wszystkie owe byty są idealnie wręcz zestrojone. Tworzą nadzwyczaj harmonijną fakturę spektaklu.

Wreszcie strona aktorska. Nie ulega wątpliwości, że udział w realizacji Mądzika był dla aktorów dużym wyzwaniem. Nie ma w niej czasu ani miejsca na stopniowe budowanie postaci; nie można zagrać samym warształem. W momencie wejścia na scenę trzeba już być wykonywaną postacią. I niemal wszyscy wykonawcy doskonale sobie z tym poradzili. A co najmniej czworo zasłużyło na szczególne wyróżnienie. Już w zapowiedzi premiery przewidywałem, że wiele możemy oczekiwać zwłaszcza od Jolanty Rychłowskiej w roli Lady Makbet. I nie omyliłem się. Rychłowska stworzyła kreację wybitną. Emocjonalnie intensywną, ale precyzyjnie utrzymaną w ryzach; bez choćby śladu przerysowania. A przy tym nasyconą głęboką prawdą psychologiczną. Dokładnie to samo zresztą można powiedzieć o Krzysztofie Olchawie w roli tytułowej.

Dopracowanej do najdrobniejszego szczegółu, a przy tym zaskakującej naturalnością użytych środków. A w dodatku oboje tworzą taki duet, jaki niezmiernie rzadko można oglądać na scenie. Bardzo dobre wrażenie robią także Artur Kocięcki jako przykuwający uwagę Banko oraz Jerzy Kurczuk z wielką klasą prowadzący w każdym wejściu rolę Makdufa. Jak podsumować tych kilka impresji? Chyba tylko tak, że w piątkowy wieczór zobaczyliśmy spektakl kompletny, bez choćby jednego słabszego punktu. Powtórzę więc to, co napisałem na wstępie: to spektakl, którego nie wolno nie zobaczyć.